# Rezygnacja z loży. Jan Rostworowski (1919-1975).

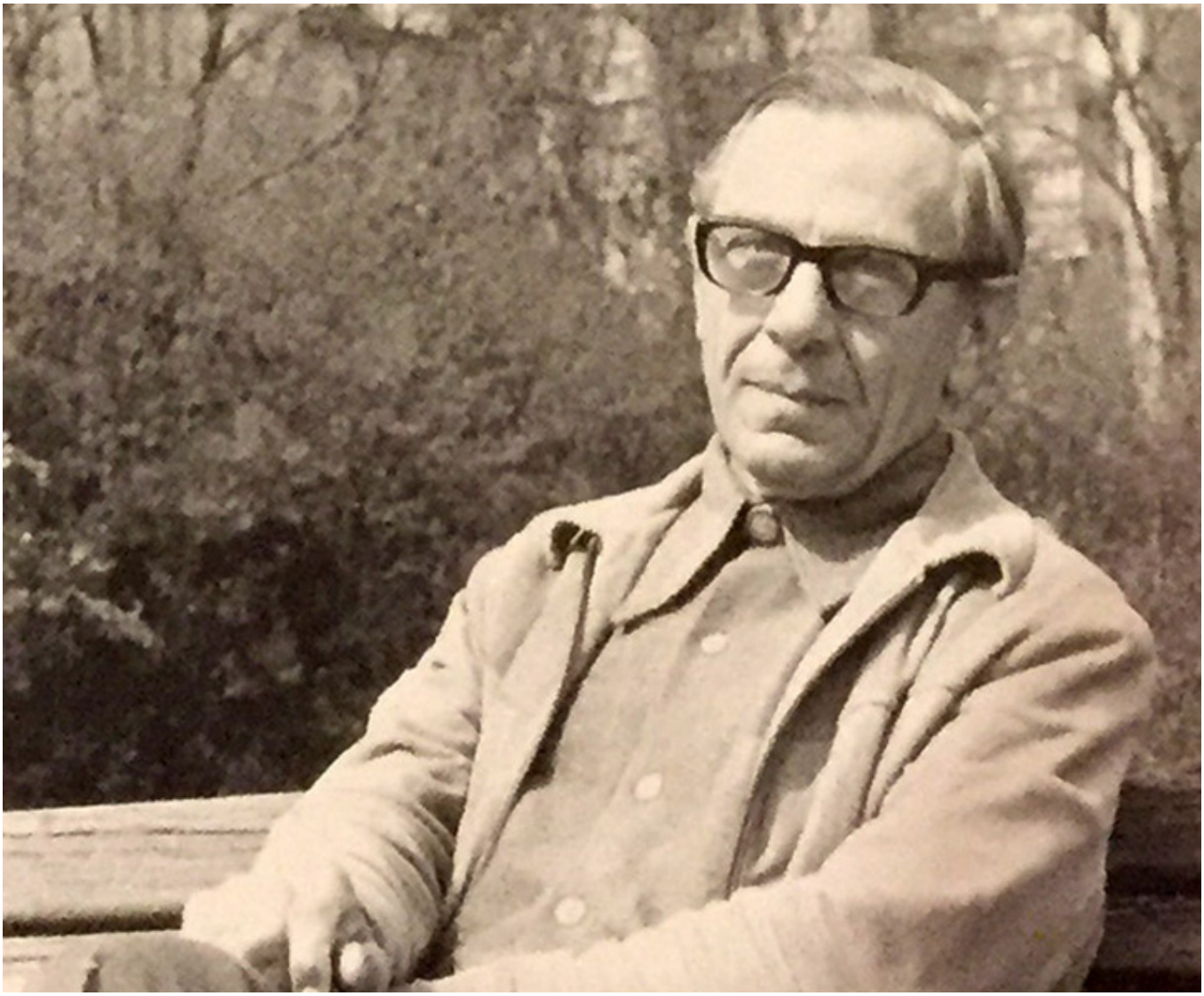

Jan Rostworowski, Kraków 1972 r., fotografia pochodzi z książki Andrzeja Gałowicza „Twórczość poetycka Jana Rostworowskiego” (2008), arch. Bogusława Rostworowskiego.

## Florian Śmieja

W Szkocji w roku 1945 wypadło mi pojechać do Edynburga z maszynopisem obozowej jednodniówki. Jako autor większej części zawartych w niej okolicznościowych wierszy doskonale pamiętam, jak jeden z zecerów wojskowej drukarni w pewnej chwili zawołał do kierownika: „Panie poruczniku, ma pan rywala w pisaniu wierszy”. Na to do pokoju wmaszerował przystojny

młody oficer, wziął do ręki plik maszynopisów speszonego starszego strzelca, przerzucił je i wnet wyszedł uspokojony. Takie było moje pierwsze spotkanie z poetą Janem Rostworowskim.

Krakowianin, syn wybitnego dramaturga i poety, Karola Huberta, którego kolędę z wielkim pietyzmem recytował mi Jan Rembieliński w Londynie, kiedy odprowadzałem go z biblioteki *British Museum* do jego hoteliku – brał udział w kampanii francuskiej, a potem ewakuowany został do Wielkiej Brytanii. W czasie wojny debiutował jako poeta i wydał szereg tomów wierszy lirycznych, fraszek i prozy. Współpracował m.in. z czasopismami „Polska Walcząca", „Wiadomości", „Tydzień Polski", „Oficyna Poetów". Był członkiem jury dorocznej nagrody „Wiadomości" oraz laureatem nagrody Kościelskich.

Rostworowski pisał poezje, które się podobały. Na jego wieczorach autorskich w Stanach Zjednoczonych było tłoczno jak na bankietach. Kiedy redagowałem pismo młodych, skrzyżowaliśmy kilka razy szpady. Były to typowe porachunki piszących, nie pozbawione przekory i zazdrości. Jedna strona pomawiała rywala o kataryniarstwo i rolę bawidamka, druga wytykała adwersarzowi „niezrozumialstwo" i „krótkie majtki".

Później przez wiele lat nasze drogi się nie schodziły, ale pewnego razu Rostworowski wracając do siebie z Londynu (mieszkał w

północnej Anglii) nałożył nieco drogi i odwiedził mnie na wsi pod Nottingham. Zajechał swoim nowiusieńkim wozem i zamaszyście oraz dziarsko wszedł do salonu. Jego pewność siebie nie była bez wpływu na naszą rozmowę, która jakoś się nie kleiła. Na domiar złego udało mu się poprawić mnie parę razy, co było dlań pewnego rodzaju satysfakcją za wcześniejsze polemiczne boje. Zaspokoiwszy ciekawość wyjechał. Wizyta nie doprowadziła do nawiązania bliższego kontaktu.

Dopiero podczas pobytu w Krakowie spotkałem go ponownie, gdy na Salwatorze wizytował swoją rodzinę. Bardzo do niej tęsknił. Mocował się ze sobą. Wreszcie powziął decyzję powrotu do Polski na stałe. Nie była to dlań decyzja łatwa. Nie jechał z zamkniętymi oczami. Polskę znał nie z lektury, a ból nieuczestniczenia w dramacie ojczyzny odczuwał dotkliwie:

> To nie mnie uderzyła pałka w rozruchach w tym mieście
>
> człowiek w niebieskim hełmie to nie jest mój stryj,
>
> na tych barczystych panów w cyklistówkach
>
> zwiezionych autobusami, patrzę, jak gdyby z loży.

Powrót do kraju był rezygnacją z loży. W liście z 10 września

1968 pisał m.in.:

> Sprawy polityczne ostatnich tygodni tak (mnie) zgryzły, że czuję się tak, jakbym truciznę pił. Oczywiście nie potrzebuję dodawać, że te sprawy „rzutują” i na mój los osobisty, bo jakoś nie potrafiłem zneutralizować ich w sobie i to się w pisarstwie moim odbije i to mi może bardzo utrudnić życie. Zazdroszczę tym ludziom, którzy nie mają żyłki do włączania się jakoś w losy zbiorowości i potrafią opisywać „życie na wsi” czy „trzepotanie się ducha ponad wodami”, jak to czyni z powodzeniem świetny i autentyczny poeta Tadzio Nowak. Albo żeby tak można było utonąć w smakach i drżączkach baroku, jak Grochowiak. No, ale nie można.

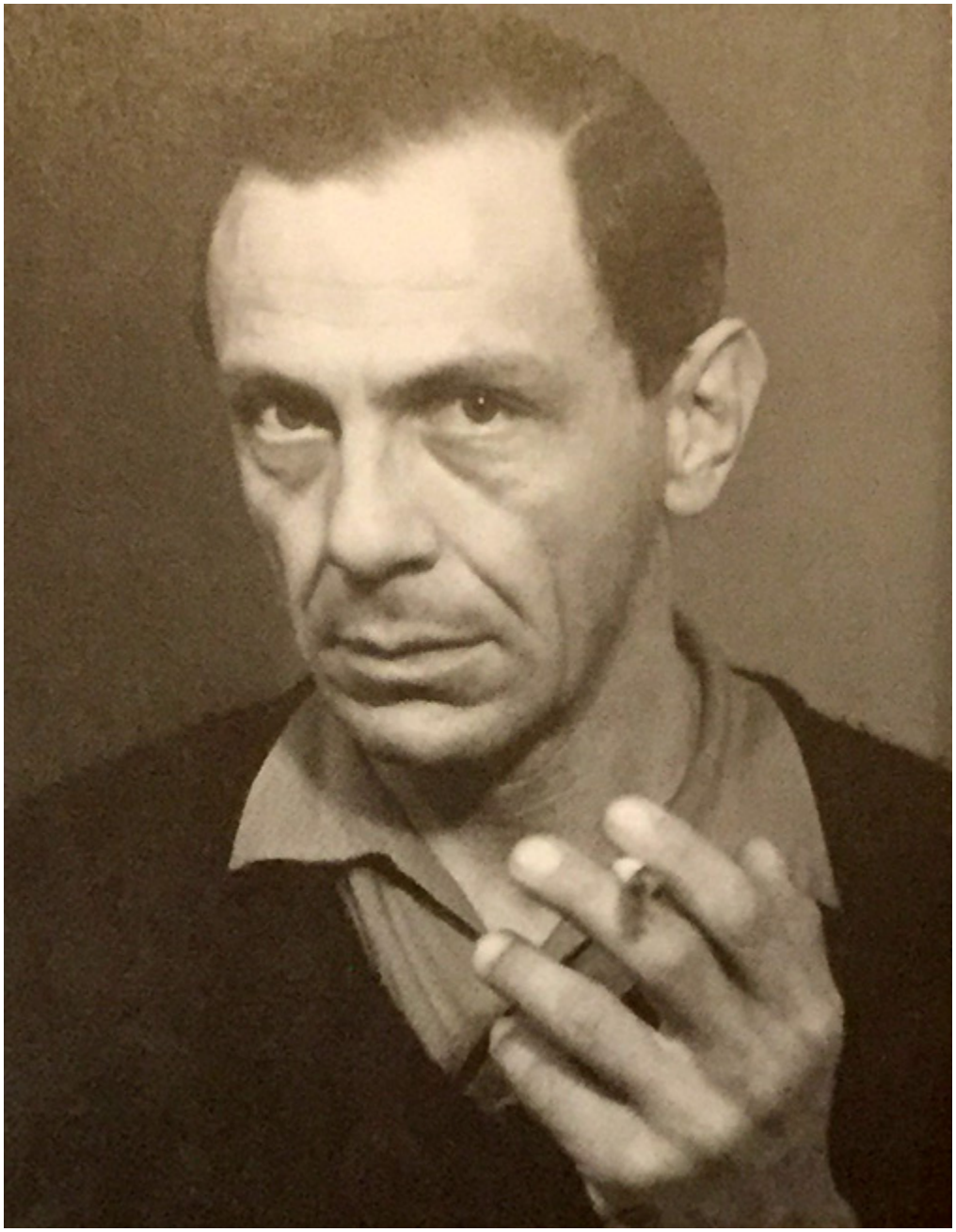

Jan Rostoworwski, Lancaster ok. 1960 r., fotografia pochodzi z książki Andrzeja Gałowicza „Twórczość poetycka Jana Rostworowskiego” (2008), arch. Bogusława Rostworowskiego.

Tymczasem sklep z delikatesami w Lancaster prosperował nieźle. („Sprawy pisarskie i handlowe – ta przeklęta kombinacja, z której się już chyba do końca życia nie wymigam – obsiadły mnie mocno”.) W lirycznym pożegnaniu pt. „Zamykamy” poeta-kupiec zanotował:

> Nigdy nam nie szło tak dobrze jak teraz. Co zdaje się jest w normie, jak w miłości przed przeminięciem, czy u kwiatu przed zwiędnięciem.

Cały bowiem ten kram, choć prosperował i zapewnił byt rodzinie, był mimo wszystko nieporozumieniem, a co najwyżej wyzwaniem. Poeta odejście skwitował słowami:

> Tylko, że myśmy nigdy przecież nie byli aprowizacją… Myśmy tylko znali słoneczne miejsce dla oliwki, źdźbła pachnącej trawy dla bretońskich ślimaczków i tę chwilę, w której owoc kandyzowany już nie jest tylko owocem i jeszcze nie jest tylko cukrem.

Wrócił z emigracji w 1968 roku – jego powrotowi towarzyszyły drwiny i insynuacje. A on wracał z tajoną przed ludźmi chorobą. W Krakowie przy ulicy św. Jana stoi kamienica, jego kamienica. Odstąpiono mu dawną stajnię w podwórzu z dostojnymi, starymi sklepieniami. Po ciotce dostały mu się stylowe meble. I tak powstało gniazdo, w którym otoczony przez rodzinę i odwiedzany przez przyjaciół poeta znowu znalazł oparcie.

Kiedy go tam odnalazłem, otrzymałem tomik wierszy miłosnych z

dedykacją: „W pierwszy krakowski wieczór, aby ich było więcej”. Tak pisał człowiek z wyrokiem śmierci w kieszeni. Nigdy zresztą o raku nie wspominał. Zawiózł mnie jeszcze swoim samochodem do Tyńca, ale już w wierszu z tego okresu powiedział:

> Kilka razy pięknie zaśpiewał ptak
>
> kilka razy pięknie uśmiechnęła mi się kobieta
>
> i przeszło życie.

Jednakże na jesieni 1974 roku trwało ono jeszcze i tliła się iskierka nadziei, którą usiłowały rozdmuchać podróże do brytyjskich lekarzy.

Kraków, ul. Św. Jana, lata 60.

Raz idąc do niego na ósmą wieczorem przystanąłem obok Sukiennic, by posłuchać hejnału, który o tej porze brzmiał najwyraźniej. Po skończonej wizycie Rostworowski odprowadził mnie do samochodu zaparkowanego na Rynku, aby wysłuchać ze mną kolejnego hejnału. Wtedy widzieliśmy się po raz ostatni. Bo kiedy w lecie następnego roku pukałem do drzwi jego mieszkania, zastałem je zamknięte. Odpoczywał w Lanckoronie, a wiersze, które pisał, tchnęły przeczuciem zbliżającej się śmierci. Utrzymane w tonie godnym, a równocześnie pełnym pokory mówiły o tym, jak to poeta tematami żył zamiast ludźmi, że serce „za długo, za starannie chował w sobie  myśląc, że pod żebrami jest na swoim miejscu”. Porzucił poeta „niebo z

papieru”, pisał o moście. Takiego w końcu stał się przedmiotem monologu, gdy leżał skazany:

> A teraz w końcu – powiada Stworzyciel –
>
> mam go już na czworakach.
>
> Orać nim można, bronować
>
> tę ogromną resztówkę nazywaną niebem.

Potem zaczęły dochodzić złe wieści i nachodzić gorsze przeczucia. Bałem się pisać, bo donoszono mi, że chudł, że nie przyjmował pokarmu. Umarł w listopadzie. Umarł młodo, ale zdążył znaleźć się tam, gdzie każdy poeta chce przebywać: w swojej ziemi, pogodzony ze sobą i ze światem.

Któż z nas ma pewność, że dożyje kresu pod przychylniejszą gwiazdą?